



Historia prawdziwa ...

Tytuł omawianej powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego nasuwa na myśl inny tytuł, mianowicie książki wybitnego historyka średniowiecza – Henryka Samsonowicza: O „historii prawdziwej”. Mity, legendy i podania jako źródło historyczne (Gdańsk 1997). Trudno powiedzieć, czy uczony ten, tak właśnie nazywając swoją rozprawę, nawiązywał celowo do miana jednego z utworów dziewiętnastowiecznego powieściopisarza. Można snuć też inny wątek. Ten mianowicie, czy w świadomości samego Kraszewskiego „Historia prawdziwa” z XII stulecia nie stanowiła jakiejś opozycji wobec „Starej baśni”, opowiadającej o wieku IX. Tam jeszcze tylko baśń, tu już historia. Są już bowiem źródła dziejowe, nie tylko legendy, choć przez kogoś kiedyś zapisane. Źródła na tyle zasobne, aby można było przedstawić czytelnikom prawdę.

Choć w formie powieści, zezwalającej przecież na różne literackie dodatki. Byle nie psuły one wiarygodności obrazu opisywanych czasów. Coś jednak wspólnego między powieścią historyczną a podaniem (mitem) o przeszłości rzeczywiście zachodzi. Jest to rola przekaźnika jakiejś wiedzy o minionych czasach (bardziej lub mniej prawdziwej, bardziej lub mniej skażonej) do szerokich kręgów społeczeństwa. Powtarzane ustnie legendy kształtowały wizję tych czasów u ludzi nie mających dostępu do kronik, czy zgoła nie umiejących czytać. Dziś zaś też łatwiej sięgnąć po powieść, niż po naukową pracę historyczną, choćby w spopularyzowanej formie. Aby korzystać wprost z nauki, trzeba być odpowiednio przygotowanym; powiedzmy – przejść przynajmniej szkołę średnią. Dla wielu przeto ludzi, trochę ciekawych historii, prawda o niej dociera poprzez powieściopisarzy. Nakłada to na literatów obowiązek pisania zgodnie z rzeczywistą wiedzą naukową. Od obowiązku tego wolni jeszcze byli narratorzy legend. Jeśli jednak między uczonymi występują interpretacyjne rozbieżności, pisarz może wybierać to zdanie, które go najbardziej przekonuje. Ze świadomością oczywiście, że za jego pośrednictwem ono właśnie wejdzie między ludzi.

„Historia prawdziwa ...” Kraszewskiego w ogólnych zarysach (choć nie w każdym szczególe) odpowiada stanowi wiedzy czasów tego autora. Rzecz jasna, nie jest to jeszcze obecny stan wiedzy. Spośród wszystkich wczesnopolskich wielmożów o wojewodzie Piotrze Włostowicu pisano stosunkowo najwięcej, i to w wielu miejscach Europy. Wzmiankuje go więc Latopis kijowski, Rocznik magdeburski, Żywot św. Ottona biskupa bamberskiego pióra Herborda, Kronika klasztoru w Zwiefalten w Szwabii, bulle papieża Celestyna III dotyczące jego fundacji, wreszcie Nekrolog klasztoru św. Idziego w Prowansji – to poza Polską. W Polsce zaś źródła różnorodne: cały ciąg kronik, poczynając od najstarszej z nich – Wincentego tzw. Kadłubka, wczesne dokumenty, zapiski kościelne związane z fundacjami Piotra, nekrologi, napis na postawionym z jego polecenia słupie w Koninie, wystosowany także w jego imieniu list biskupa Mateusza do św. Bernarda z Clairvaux, a nawet osobne, poświęcone mu utwory. Z tych ostatnich

zagiął ważniejszy, bo jeszcze dwunastowieczny: Carmen Mauri (Pieśń Maura), poemat napisany w założonym przez Włostowica wrocławskim klasztorze św. Wincentego. Stał się on jednak podstawą utworu znacznie młodszego, bo powstałego w tym samym klasztorze na początku XVI w. Cronica Petri comitis Poloniae (Kronika o Piotrze komesie polskim); ponadto korzystały z niego Kronika polsko śląska (z końca XIII w.) i Kronika wielkopolska (z XIV w.). Jest zatem co znajdować. Spośród całego tego materiału Kraszewski znał większość źródeł opisowych, już za jego czasów wydanych drukiem; przede wszystkim jednak wykorzystał (co zrozumiałe) Kronikę o Piotrze. Choć dzieło to zawiera obszerny wstęp i zakończenie, jądro jego - zaczerpnięte z Carmen Mauri - ogranicza się do wydarzeń z roku 1145, których centralnym fragmentem jest oślepienie i wygnanie wojewody z rozkazu księcia Władysława II. I właśnie te wydarzenia stanowią cały temat „Historii prawdziwej...”. Z tym jednak, że w niej osoba Piotra Włostowica – przecież tytułowego bohatera – schodzi jakby na drugi plan, na pierwszym zaś widnieje cały czas jego zięć, Jaksa z Miechowa, jako świadek (jeśli trzeba, aktywny) owych wydarzeń. Małżeństwo jego z córką Piotra kładzie zresztą pisarz – wbrew swemu źródłu – dopiero na sam koniec powieści; tak, aby przedstawić dzieje rodzącej się i rozwijającej miłości jako główny motyw dzieła. Nie chcąc jednak widocznie obdarzyć owej miłości happy endem, każe świeżej małżonce Jaksy umrzeć – na ostatniej stronie książki – już pół roku po ślubie. I znów w opozycji do źródła, mianowicie wierszowanego napisu z istniejącego kiedyś we Wrocławiu (w obrębie wspomnianego już opactwa św. Wincentego) kościoła św. Michała. Napis ten – uratowany dla wiedzy w rękopisie zawierającym również Kronikę o Piotrze - zaczyna się od słów: „Jaxa principium templi fuit huius et auctor; Post obitum cuius operi fines dedit uxor” (Przez Jakcę ta świątynia jest wzniesiona; Kiedy zmarł, dzieło ukończyła żona). Małżeństwo ich trwało przeto nie pół roku, lecz ponad trzydzieści, i to Jaksa zszedł ze świata wcześniej, w 1176 r. W szczegółach „Historia prawdziwa...” skręca więc czasem w stronę „nieprawdziwej”, widać na zasadzie literackiej licencji.

Skręty takie mogą przecież budzić sprzeciw. Chodzi o wymóg uszanowania godności osób nieżyjących. Beletrystyka wprawdzie potrzebuje nieraz „czarnych” lub choćby „szarych” charakterów; ma jednak (o powieści historycznej myślę) aż dwie możliwości ich zdobycia: wykorzystanie w tej roli osób ujemnie opisanych w źródłach (choć źródła te bywają stronicze) bądź kreowanie postaci fikcyjnych. Nie można więc czynić Kraszewskiemu zarzutu za sposób przedstawienia czytelnikom księcia Władysława, księżniczki Agnieszki czy Dobka; takimi oni są w nieprzychylnych im źródłach, których bohaterem wypada Piotr Włostowic. Nic jednak nie upoważniało pisarza do deprecjonowania żony Piotra, księżniczki ruskiej Marii. W powieści jest ona osobą kapryśną, egoistyczną, niewdzięczną i ludziom raczej niechętną, w dodatku nieco ograniczoną mentalnie. Widzę tu nawet autorską niekonsekwencję; pierwsze zetknięcie czytelnika książki z Marią (rozmowa jej z Jakcą) ukazuje ją w roli kobiety poważnej, rozumnej i troskliwej o męża, a nadto uprzejmej (słowa przy darowaniu pierścienia). Wygląda na to, jakby dopiero w trakcie tworzenia zmieniał swą koncepcję przedstawienia tej postaci. W źródłach natomiast jej dokładnej charakterystyki nie znajdujemy; Kronika o Piotrze opisuje ją tylko jako „bardzo piękną”, a Kronika polsko – śląska jako „cnotą, wiarą, pobożnością we wszystkim podobną mężowi”. Mogą to być słowa konwencjonalne; może też jednak za nimi coś się kryć, skoro wiadomo, że uczestniczyła w Piotrowych fundacjach, wraz z synem Świętosławem dotując budowę klasztoru NMP na Piasku. Nieprzyjemny jej obraz w książce jest więc wyłącznie tworem fantazji autora; taki przecież obraz, krzywdzący rzeczywistą a nie fikcyjną postać, w efekcie idzie w świat, udając prawdę. Z racji swego zawodu historycy (a zatem również historyczni powieściopisarze) są wprawdzie zwolnieni z przestrzegania zasady „de mortuis nihil nisi bene” (o zmarłych albo dobrze, albo nic); powinni wszak poczuwać się do odpowiedzialności, aby z osoby niegdyś żyjącej, o której nic złego nie wiedzą, nie czynić „na siłę” osoby złej. „Historia prawdziwa...” zmienia się wtedy nie tylko w nieprawdziwą, lecz i w niesprawiedliwą.

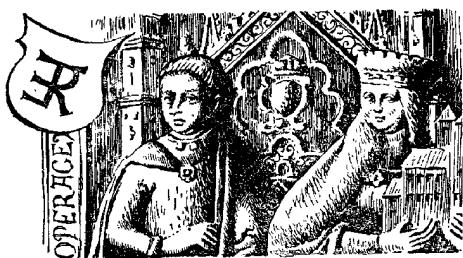
Historycznie najważniejszą stroną książki jest jednak jej strona polityczna. Opisuje ona konflikt,

jaki wybuchnął między synami Bolesława III Krzywoustego zaledwie kilka lat po zgonie ich ojca i wejściu w życie statutu tegoż na temat następstwa tronu. W konflikcie tym przedstawia również rolę Piotra Włostowica, jako przedstawiciela i w pewnej mierze przywódcy ogółu duchownych i świeckich dostojników państwa. Właśnie w tym zakresie zbiega się ona z tym stanem wiedzy, jaki istniał w czasie jej powstawania i jeszcze długo potem. W tym sensie możemy ją rzeczywiście nazwać „Historią prawdziwą...”, w każdym razie prawdziwą subiektywnie. Centralnym punktem problemu jest tu opinia o statucie Krzywoustego i jego znaczeniu dla losów polskiej monarchii wczesnopiastowskiej. Jak uważano, książę Bolesław podzielił wówczas państwo między synów, najstarszemu z nich dając władzę zwierzchnią nad pozostałymi. Zakres tej władzy został dokładniej rozpoznany dopiero w późniejszej literaturze naukowej. Okazał się on całkiem znaczny; z dokumentu Mieszka III Starego wiemy, że książę zwierzchni zatwierdzał nawet zamiany dóbr w dzielnicach innych książąt i pobierał kary za ewentualne naruszenie takich układów. Dokumentu tego (drukowanego w Poznaniu cztery miesiące przed ukończeniem we Florencji „Historii prawdziwej...”) miał jeszcze prawo nie znać Kraszewski; stąd jego uwaga, że młodsi bracia Władysława II „byli równymi mu książętami, z których każdy panował u siebie”, nawet daniny mu nie płacąc. Co więcej, powieściopisarz jeszcze Krzywoustego nazywa królem, a dopiero Władysława księciem – tak jakby to statut pierwszego z tych władców zniszczył nie tylko jedność państwa, lecz i godność królewską w nim. Kraszewski idzie tu znowu za Kroniką o Piotrze, tak właśnie tytułującą każdego z nich; choć wczesne źródła ograniczają miano królów do Bolesława Chrobrego, Mieszka II i Bolesława Szczodrego. W ujęciu zatem „Historii prawdziwej...” Władysław II, zmierzając do wypędzenia braci, chciał przywrócić Polsce i jedność, i zarazem rangę królestwa – ciekawe, że przy pomocy cesarskiej, choć akurat cesarze z Niemiec byli zdecydowanymi wrogami korony na głowie władców polskich. Sądzę, że granicą między wczesną monarchią a rozbiem dzielnicowym w Polsce stanowił właśnie statut bądź nawet klęska Władysława II, do niedawna panował w naszej nauce niepodzielnie. Stawiało to rolę Piotra Włostowica, a wraz z nim innych wielmożów oraz biskupów w pozycji nieco dwuznaczej; z jednej strony obronę praw młodszych synów Krzywoustego wobec ich starszego brata można było traktować jako gest humanitarny, z drugiej wszakże jako szkodliwy dla przyszłości kraju. To wewnętrzne rozdwojenie przewija się przez całą książkę Kraszewskiego.

W ostatnich jednak czasach w środowisku historyków zdobywa sobie miejsce inny pogląd, nie bez mojego w tym udziału. Odrzuca on jakikolwiek związek statutu Bolesława III z genezą rozbitcia. Według niego, dzielnice w Polsce istniały zarówno po, jak i przed tym statutem; o ich potrzebie decydował bowiem koń jako ówczesny środek komunikacji. Kontakt ze stolicą państwa wymagał czasu, w częściach tego państwa musiała więc zawsze funkcjonować władza lokalna, wyposażona w szerokie prerogatywy. Ponieważ Piastowie uchodzili za „panów przyrodzonych” Polski, im właśnie należały się rządy w takich dzielnicach w pierwszej kolejności. Tak samo było w innych krajach słowiańskich, więc na Rusi i w Czechach; terytoria zarządzane przez członków panującej dynastii są tam od początku regułą. Z jedną tylko, zupełnie przypadkową różnicą: oto przed Krzywoustym Piastowie byli stosunkowo słabo rozrodzeni, przeto rządy w dzielnicach powierzał często władca zwierzchni w ich braku komesom możnowładczego pochodzenia. Kronika Galla zna z imienia takiego komesa Magnusa, sprawującego za Władysława Hermana rządy na Śląsku, a już za Krzywoustego na Mazowszu. Jest oczywiste, że według zwyczaju tenże Krzywousty obdarzał takim zarządem dzielnic swoich synów; nie w chwili swego zgonu, lecz w miarę dochodzenia do wieku sprawnego każdego z nich. Nie miały to przy tym być dzielnice dziedziczne, gdyż takich nie znano na Rusi ani w Czechach; domysł o dziedziczności został do nauki polskiej zupełnie niepotrzebnie wprowadzony i długo się w niej utrzymywał. Bolesławowy statut nie wprowadził więc żadnych zmian, jeśli chodzi o jedność czy ustrój państwa. Uporządkował tylko regułę następstwa tronu, wprowadzając stałą dzielnicę stołeczną (senioralną) Polski z ośrodkiem w Krakowie i powierzając ją na przyszłość, wraz ze zwierzchnością nad całym państwem, zawsze najstarszemu urodzeniem

spośród wszystkich Piastów. Celem jego było osiągnięcie w Polsce trwałego wewnętrznego pokoju, przedtem bowiem toczyły się czasami bratobójcze wojny – o władzę zwierzchnią. Niestety na dłuższą metę nie spełnił on pokładanych w nim nadziei – ostatecznie nie zapobiegł on dalszym wojnom domowym, z których pierwsza jest właśnie przedmiotem „Historii prawdziwej...”. Dopiero te wojny, przynosząc złamanie statutu, doprowadziły do rozbicia państwa na szereg dziedzicznych już, niezależnych dzielnic. W tych warunkach opisany w książce konflikt nie był jeszcze zmaganiem sił dośrodkowych i odśrodkowych w kraju, lecz jedynie rywalizacją dwóch linii panującej dynastii o władzę zwierzchnią, a wynik jego dla sprawy jedności państwa nie miał jeszcze znaczenia. Zatem Piotr i jego towarzysze, broniąc postanowień statutu Krzywoustego, bronili tym samym tylko pokoju i praworządności.

o Petрку Właście ...



Piotr, syn Włostu, z małżonką

Długo związany w swym życiu ze wschodnimi ziemiami dawnej Rzeczypospolitej, Kraszewski nadał imieniu tytułowego bohatera swej książki postać ukraińską. Latopis kijowski pod rokiem 1145 (według ery używanej wtedy na Rusi był to rok 6653) tak pisze o Włostowicu: „Toj że zemie Władisław liad'skij kniaz' em muža swoeho Petrka, isliepi a jazyka emu urieza i dom eho ozhrabi, tokmo s żenoju i z diet'mi wyhna iz zemli swoeja, i ide w Rus''' (Tejże zimy

Władysław książę polski pojmał swego wielmożę Piotrka, oślepił, uciął mu język i dom jego rozgrabił, z żoną tylko i dziećmi wyгнаł z ziemi swojej, a on poszedł na Ruś). Losy Piotra i jego rodziny po egzekucji „Historia prawdziwa...”, nie znając chyba tego przekazu, przedstawia znów odmiennie; w tym miejscu chodzi jednak o właściwe nazwanie. Kroniki polskie za Wincentym Kadłubkiem zwą go konsekwentnie „Petrus Vlostides”, tj. Piotr Włostowic syn Włosta), przy użyciu tylko greckiego zamiast łacińskiego przyrostka patronimicznego. I takie właśnie miano tej osoby jest językowo prawidłowe. Imię słowiańskie Włost występuje niejednokrotnie (choć niezbyt często) w polskim średniowieczu; choćby współczesny Piotrowi (i zapewne jego brat) Włost, który darował trzy wsie katedrze wrocławskiej, zaś kanonikom regularnym z Trzemeszna wieś Włostowo nad Gopłem. Niewłaściwą natomiast, choć często do niedawna używaną, jest nazwa „Piotr Włost” – sugeruje ona bowiem dodany do imienia przydomek osobowy, a nie patronimium. W źródłach średniowiecznych takie określenie naszego wojewody nie występuje. Zgodnie z Latopisem kijowskim Piotr obok pełnej formy swego imienia mógł też używać zdrobnień. W dawnej Polsce był to zwyczaj powszechny, choć unikano stosowania zdrobnień przy okazjach uroczystych. „Petrkiem” zwano go więc na Rusi (dokąd, jako mąż tamtejszej księżniczki, musiał niekiedy jeździć); w Polsce deminutivum to mogło przyjąć brzmienie „Piotrek” najprawdopodobniej także „Pietrzyk”, „Piotrasz” czy „Pietrasz” (zawsze w zmiękczeniu, którego nie dał Kraszewski) takie bowiem formy znajdujemy w źródłach. Kronika zwiefalteńska, oparta na opowiadaniu wdowy po Bolesławie III – Salomei, zwie go nie „Petrus”, lecz „Patricius”, co wydaje się latynizacją któregoś z owych zdrobnień. Kronika wielkopolska zaś powołuje się na zaginione „Gesta Piotrkonis” (Dzieje Piotrka), zapewne identyczne z Carmen Mauri.

Tu również przypada miejsce na bliższą rodzinę Piotra. Żona jego Maria była księżniczką ruską; żadne jednak ze wczesnych źródeł nie podaje imienia ani dzielnicy jej ojca. Dopiero Kronika wielkopolska nazywa ją ciotką Władysława II, co za nią powtórzył Jan Długosz. W tym ujęciu byłaby ona córką wielkiego księcia kijowskiego Świętopełka II, matką bowiem Władysława II była inna córka tego księcia, Zbysława. Z kolei Kronika o Piotrze za ojca Marii uznała porwanego przez Piotra Włostowica księcia Wołodara. Wszystko to były widoczne domysły; Kraszewski próbował je pogodzić, każąc córce Świętopełka wychowywać się na dworze Wołodara (opowieść dziada na początku książki), choć naprawdę między tymi książętami przyjaźni nie było. Pośrednie, ale

prowadzące do wyjaśnienia sprawy informacje przynosi opowiadanie księżnej Salomei Bolesławowej, zapisane przez mnichów z Zwiefalten. Według tego opowiadania Maria Piotrowa miała matkę Greczynkę wysokiego rodu; z Greczynką zaś, Teofano Musalonissą, ożenił się książę czernihowski Oleg Świętosławicz, a Świętopełk nie miał żony z Bizancjum. Za Piotra wydał Marię jeszcze jej ojciec kiedy ten, wysłany w swaty przez innego polskiego możnowładcę, sam się o nią oświadczył. Przyjęcie go za zięcia, a przedtem zdobycie przez niego uczucia księżniczki, musi świadczyć o ogładzie i elegancji Włostowica, nabytych zapewne na dworze; znów więc nie ma racji Kraszewski, nie wiadomo czemu pisząc o nim jako o prostaku, który tylko „ze wstrętem” kładł wytworne szaty.

Z „Historią prawdziwą...” nie zgadza się również liczba Piotrowych synów i córek. Kraszewski znał tylko dwoje: Świętosława i Beatrycę, które to imię przetłumaczył na polski (Błogosława). O Świętosławie przy tym napisał to właśnie, co Kronika o Piotrze (za Carmen Mauri) przypisała innemu jego synowi, Idziem. Historycy nasi utożsamili te dwie postacie; tożsamość taka nie jest możliwa ze względów chronologicznych. W 1145 r. Idzi miał według wspomnianej kroniki zaledwie 19 lat; syn zaś Świętosława Włodzimierz pełnił już w 1177 r. najwyższy urząd w państwie (pierwsze miejsce wśród możliwych świeckich na gnieźnieńskim dokumencie Mieszka Starego). Nieobecność Świętosława, a obecność Idziego przy ojcu podczas pojmania tegoż tłumaczy się tym, że pierwszy z nich, jako już żonaty mieszkał osobno. Synem Piotra Włostowica (i to najstarszym) był wreszcie Wszebór, w książce Kraszewskiego występujący w zupełnie innej roli, mianowicie jako palatyn sandomierski, sędziwy już wiekiem. Jego związku rodzinnego z Piotrem nie określa wprost żadne źródło. Toteż badacze (i to nie wszyscy) uważali ich co najwyżej za jakichś krewnych. Wśród wnuków Włostowica, reformującego w roku 1193 klasztor św. Wincentego, występuje wszakże Piotr, który nie należał do synów Świętosława. Na podstawie całego szeregu kryteriów trzeba go utożsamić z Piotrem Wszeborzycem, wojewodą kujawskim i fundatorem klasztoru norbertanek w Strzelnie. Wreszcie córki. Żona Jaksy nie miała – jak czytamy w powieści – na imię Beatrycza (Błogosławiona), lecz Agata (po rusku Agafia), z takim bowiem imieniem występuje ona obok męża na tympanonie z dawnego kościoła św. Michała na Ołbinie wrocławskim, przez nich (jak już była o tym mowa wyżej) wzniesionego. Młodszą od niej Beatrycę można natomiast identyfikować z pierwszą przełożoną (magistra) konwentu w Strzelnie, noszącą takie właśnie miano.

palatynie ...

Łacińska nazwa „palatinus” (zarządca pałacu, więc dworu monarchy) utożsamiła się w naszych źródłach z polskim terminem „wojewoda” (wiodący wojów, więc dowódca wojskowy). Stało się tak, chociaż miana te nie oznaczają takiej samej funkcji. Przyczyna leży w wielostronnych, zarówno militarnych, jak i cywilnych uprawnieniach i obowiązkach tego urzędu. Był to zastępca monarchy, jego prawa ręka, a władza jego sięgała wszędzie tam, gdzie uznawano panowanie zwierzchnie księcia. O zakresie tej władzy dowiadujemy się najwięcej z Kroniki Galla. Tak więc, wojewoda Sieciech za czasów Władysława Hermana mianował urzędników w dzielnicach zarządzanych nawet przez synów książęcych, a w bitwach Bolesława Krzywoustego (pod Nakłem i nad Trutiną) dzielono taktycznie wojska na dwie części: jedną dowodzoną przez księcia, drugą zaś przez wojewodę Skarbimira. Prawie do końca wieku XII Polska miała tylko jednego palatyna – wojewodę; w tym jednak czasie rosnąca niezależność książąt dzielnicowych sprawiła, że zaczęli oni tworzyć koło siebie własne dwory z własnymi palatynami, na wzór książąt zwierzchnich. Urzędnicy ci w liczbie mnogiej, tak wspomniani w „Historii prawdziwej...”, nie odpowiadają zatem jeszcze rzeczywistości. Wielość wojewodów (po jednym w każdym księstwie) była natomiast specyfiką Polski dzielnicowej; utrzymało się to również po zjednoczeniu, ponieważ królowie – zabiegając o poparcie możnowładztwa i ziemiaństwa – nie likwidowali dotychczasowych hierarchii urzędów dworskich, które z braku książąt przekształcały się w

hierarchię urzędów ziemskich. Ponieważ na czele tych hierarchii stali wojewodowie, ziemie uzyskiwały z czasem nazwę województw. I do takich województw, jako administracyjnych części państwa, jesteśmy obecnie przyzwyczajeni.

Przez znaczną część XII w. ogólnopolskim palatynem – wojewodą był przy książętach Bolesławie III Krzywoustym, Władysławie II i Bolesławie IV Kędzierzawym Piotr Włostowic. Był nim wszakże trzykrotnie, z przerwami. Po raz pierwszy objął ten urząd na przełomie 1117/1118 r., następując po Skarbimirze, usuniętym i skazanym na oślepienie za wzniecony bunt. O buncie tym mamy tylko krótką wzmiankę rocznika. Nie znamy więc przyczyny, dla której wychowawca i długoletni najbliższy współpracownik Krzywoustego, któremu pomógł w dojściu do tronu, nagle wystąpił przeciw swemu wychowankowi. Wsuwane czasem przez badaczy domyślne powody nie są przekonujące. Osobiście sędzę, że chodziło tu o sprzeciw wobec przygotowanego już statutu o następstwie tronu. Uporządkowując regułę owego następstwa na zasadzie senioratu, statut ten eliminował faktycznie wpływ możnych na wyznaczanie każdorazowego następcy, a więc swego rodzaju elekcyjność. Mógł przeto wywoływać opór. Piotr Włostowic natomiast całą swą późniejszą działalnością popierał ten statut, stojąc na straży zachowywania jego postanowień, następnie zaś tę samą orientację przekazał zięciowi i synowi. Bolesław Krzywousty darzył go do końca ogromnym zaufaniem, powierzając mu na łożu śmierci troskę o sprawy całego państwa (cui per Boleslaum regni totius fuit commissa tutela). Mimo to przejściowo musiał Piotr godność wojewody zwrócić Skarbimirowi (do zgonu tegoż). Wynika to z dwóch aż przekazów późniejszych niż bunt, mianowicie z Księgi brackiej opactwa benedyktynów w Lubiniu (zapewne 1121 r.) i z dokumentu legata Idziego, które wymieniają zarówno księcia Bolesława, jak i Skarbimira – tego ostatniego na czele całego pocztu możnowładców. U Wołodara (którego porwał w 1122 r.) Piotr udawał opozycjonistę i uchodźcę; rzeczywista wiadomość o utracie przezeń urzędu mogła podnosić wiarygodność takiego udawania.

Po śmierci Skarbimira – nie wiemy, w którym roku – Włostowic wrócił na stanowisko wojewody. Pozostawał nim też za panowania Władysława II, aż do tragicznego roku 1145. Współpraca między nim a nowym księciem układała się początkowo dobrze. Niewątpliwie to on wraz z małżonką doprowadzili do ślubu syna Władysławowego, Bolesława Wysokiego, ze Zwinisławą córką ówczesnego wielkiego księcia kijowskiego Wszewołoda Olegowicza, rodzzonego brata Marii Piotrowej. Owo swatanie wywołało niechęć do Piotra ze strony macochy Władysława, księżnej Salomei. Przedstawiała ona swoim gościom z Zwiefalten wojewodę jako podstępnego oszusta, powołując się zarówno na jego oświadczenia o Marię, choć był swatem innej osoby, jak i na okoliczności uprowadzenia Wołodara, który to fakt oceniła odmiennie niż jej zmarły mąż. Wobec takiej opinii można się tylko dziwić, że niedługo potem Piotr stanął w obronie zagrożonych przez przyrodniego brata synów Salomei, co przyplacił kalectwem i wygnaniem. Choć różnie próbowano wyjaśnić ów zwrot, niewątpliwie wydaje się tylko, że wojewoda pełnił cały czas rolę „arbitra książąt”, oceniając ich postępowanie wobec postanowień statutu Krzywoustego, i popierając tę stronę, która wówczas tych postanowień dotrzymywała.

Katastrofa Piotra oznaczała równocześnie pozbawienie go urzędu. Możliwe, że para książęca uczyniła jego następcą Dobka, jako przywódcę swych stronników. Wbrew „Historii prawdziwej...” jego słowiańskie, po słowiańsku jeszcze zdrobnione imię każe wykluczyć możliwość niemieckiego jakoby pochodzenia. Jako konkurencyjny wojewoda młodszych synów Krzywoustego występował tymczasem Wszebór, syn Piotra, zapewne twórca zwycięstwa pod Poznaniem. Po wygnaniu Władysława jego następcą Bolesław Kędzierzawy przywołał przecież do Polski Włostowica i zwrócił mu posiadany przedtem urząd. Jako „palatinus” figuruje Piotr w napisie na słupie konińskim w 1151 r. oraz w wystawionym około tego czasu dokumencie biskupa wrocławskiego Waltera dla kościołów na Piasku i na Ślęzy. Piotr zmarł 16 lub 17 kwietnia 1153 r. Nekrolog lubiński zwie go tylko komesem wrocławskim; mógł więc wojewoda krótko przed zgonem zamienić swój urząd, co pozwoliło mu uniknąć uciążliwych podróży. Następnym

wojewodą był Jaksza, wymieniany zawsze na pierwszym miejscu wśród polskich wielmożów w dokumentach.

... którego zwano Duninem.



Nazwa Dunin, pierwotnie Donin, oznaczała Duńczyka. Taki przydomek w odniesieniu do rzeczywistego Piotra Włostowica występuje dopiero w późnych źródłach. Co istotne, źródła te osoby Piotra Włostowica i Piotra Dunina niesłusznie rozdzielają. Początek dała tu Kronika wielkopolska, dzieło pisane w obecnej jej postaci w XIV w. przez archidiacona gnieźnieńskiego Jana (Janka) z Czarnkowa, autora także ciekawej kroniki swoich czasów. Ów dziejopis poszedł za dwoma różnymi źródłami, które niezależnie od siebie przedstawiały dwa różne epizody życiorysu Piotra. Wincenty Kadłubek, któremu zawdzięczamy właśnie znajomość

patronimium Włostowic, opisywał z jego życia wyłącznie porwanie Wołodara. Benedyktyn Maur natomiast, autor zaginionego Carmen, zajął się tylko wydarzeniami z roku 1145, ukazując Piotra jako męczennika za sprawiedliwość. Tego właśnie Piotra twórca Kroniki wielkopolskiej nazwał Duninem ze Skrzyńska, nie dostrzegłszy osobowego związku między nim a Włostowicem, choć związek ten występuje w znanej mu Kronice polsko – śląskiej, którą widocznie niezbyt dokładnie wykorzystał. Według bowiem śląskiego źródła (a wcześniej jeszcze opowieści Salomei) to właśnie Włostowic z okupu za Wołodara ufundował 70 kościołów i 7 klasztorów, co Kronika wielkopolska przypisała Duninowi. Zmienił się też w niej charakter owego „fundacyjnego” skarbu; miała to bowiem być własność króla duńskiego, wywieziona przez „Piotra Duńczyka” z jego ojczyzny do Polski. Ów król duński został zabity przez swego brata, a jego skarb miał przechowywać zrazu ojciec tegoż Piotra, który nie chciał, aby dostał się on w ręce zabójcy. Przejście z rzeczywistości do legendy zawdzięczała Kronika wielkopolska niewątpliwie rodowej tradycji potomków Piotra, więc członków rodu Łabędziów. Motyw duński w tej tradycji istniał już na przełomie XIII i XIV w., skoro w 1326 r. Mieclaw z Konecka użył już swojej pieczęci z herbem Łabędź, a w 1350 dokument zamiany dóbr notuje w tym samym kręgu rodzinnym po raz pierwszy imię Donin, które odtąd powtarzało się w tym rodzie, aż w końcu stało się jego przydomkiem. Odniesienie jego do wojewody Piotra z pierwszej połowy XII stulecia było jednak rzeczą wtórną. Gniazdo Włostowiców leżało na Śląsku, między Wrocławiem a górą Ślężą, gdzie według bulli Celestyna III dla klasztoru na Piasku dobra mieli już ojciec i dziad Piotra. Zabójstwo w duńskiej rodzinie królewskiej zdarzyło się naprawdę, lecz dopiero w roku 1250, kiedy to król Eryk IV znalazł śmierć z ręki brata, księcia Abla. W tym czasie wśród przodków rodu Łabędziów żyli bracia Wszebór i Piotr ze Skrzyńska, o których przez dziesięciolecia źródła nasze nie dają żadnej wiadomości. Wygląda na to, że (obaj lub jeden z nich – najpewniej Piotr ze względu na imię) spędzili długie lata poza Polską, widocznie właśnie w Danii, skąd przywieźli wspomnienia udziału w jakichś wydarzeniach, które stały się osnową legendy. Legendę tę przeniesiono następnie na osobę najwybitniejszego z przodków, myląc czas i okoliczności, między innymi pochodzenie skarbu. W tym miejscu warto zaznaczyć, że Rodowód Ciołków na Drzewicy wymienia wśród członków tego domu braci Jakuba „rycerza Hiszpanii” i Jakuba „rycerza Galii”, który to Piotr, osiadłszy następnie w ziemi lubelskiej, „Frānczusz appellatus est” (nazywany został Francuzem). Oto i analogia do przydomka Dunin w rodzie Łabędziów. „Historia prawdziwa...” Kraszewskiego, ten przydomek wymienia w swym tytule. Jednak Kraszewski tych wydarzeń nie rozwija w treści opowiadania. I dobrze się stało, gdyż wbrew Kronice wielkopolskiej, wydarzenia duńskie nie mogły się odnosić do Piotra Włostowica, gdyż nastąpiły one dopiero w 100 lat po jego śmierci. Prawdziwym „Piotrem Duńczykiem” i bohaterem legendy mógł zostać dopiero praprawnuk Włostowica.